

Ścigać internet

Wygląda na to, że lewicowemu rządowi Keira Starmera udało się łatwiej, niżli powszechnie przypuszczano, spacyfikować potężną falę antyimigranckich zamieszek w Wielkiej Brytanii. Falę, dla której detonatorem było morderstwo dokonane przez osiemnastoletniego Murzyna na grupie angielskich dzieci w kurorcie Southport. W chwili gdy piszę te słowa rozruchy nagle zamarły, chociaż sam rząd i policja brytyjska spodziewały się ich rozprzestrzeniania się po kraju.

A zamiast rozruchów przez angielskie miasta przetaczają się teraz tłumne obywatelskie marsze, domagające się represji wobec uczestników zamieszek, czy też generalnie – wobec całej brytyjskiej prawicy, a także zapraszające do Anglii przybyszów z Afryki i Azji. Europejskie media z satysfakcją publikują zdjęcia z owych marszów, których uczestnicy wznoszą w górę takie banery, jak ten pokazywany na czołowce niemieckiego „Politico”: „Refugees welcome! Stop the far right!”. Politycy rządzącej lewicy nawołują do tych manifestacji, traktując je jako polityczną legitymizację nie tylko dla policyjno-sądowych represji wobec prawicy, ale – co pewnie bardziej doniosłe – dla planów ograniczenia wolności słowa. Choć (warto i ten szczegół zauważyć) wymęczona zamieszkami policja nie jest szczęśliwa z powodu fali inspirowanych przez lewicę kontrdemonstracji, czemu na antenie BBC dał wyraz bliski współpracownik premiera – minister ds. konstytucji Nick Thomas-Symonds, sugerując swoim kolegom, by właśnie ze względu na wyczerpanie policji nie prowokowali kolejnych niepokojów.

Moja hipoteza jest taka, że w dzisiejszej Europie dość łatwo spacyfikować prawicowe zamieszki, jeśli tylko władza jest gotowa użyć odpowiednio mocnych represji policyjno-sądowych. W ostatni czwartek mogłem na żywo obserwować ogłoszenie przez sędziego w Liverpoolu wyroku na czterech uczestników rozruchów, gdyż na polecenie Starmera procesy są publicznie transmitowane dla napiętnowania podsądnych. Zapadły tam wyroki dwóch lat i ośmiu miesięcy więzienia, bo – jak mówił sędzia – podsądni „znaleźli się na czele ujadającego tłumu”. Najstarszy skazany, siedemdziesięcioletni mężczyzna, rozplakał się, a kamera pokazywała na sali stężące z przerażenia jego dorosłe dzieci. Ten obrazek zapadł mi w pamięć, ponieważ unaocznili zasadniczą kulturową różnicę pomiędzy profesjonalnymi bojowcami, jakich widzimy w różnych krajach podczas zamieszek organizowanych przez Black Lives Matter czy inne ruchy lewicowo „przebudzonych”, a tymi bezradnymi podsądnymi z Liverpoolu, którzy bez namysłu i przygotowania poszli demolować miasto, rozjuszeni wieścią, iż jakiś Murzyn zabija angielskie dzieci. Takich prostych i zaskoczonych sytuacją ludzi łatwo spacyfikować represjami. A nowa władza faktycznie nie przebiera w środkach, skoro – zgodnie z groźbą szefa Crown Prosecution Service (CPS) Stephena Parkinsona – niektórym spośród setek aresztowanych stawia się nawet zarzut terroryzmu.

Mnie jednak najbardziej interesuje inny aspekt skutków antyimigranckich rozruchów. Ostatnimi czasy dzieje się bowiem tak, że gdziekolwiek one się zdarzają, tam władza wykorzystuje je dla wylegitymizowania swoich planów nałożenia restrykcji na wolność słowa. Tak było w listopadzie ubiegłego roku w Irlandii, gdzie po antyimigranckich zamieszkach ówczesny premier Varadkar niezwłocznie wystąpił z projektem ustawy, która nie tylko kryminalizowała „przygotowywanie bądź posiadanie materiałów,

mogących posłużyć do siania nienawiści”, ale dokonywała także rewolucyjnego – z perspektywy prawnika – odwrócenia ciężaru dowodu w procesie karnym (co uważano dotąd w Europie za historyczne osiągnięcie epoki Oświecenia). Odtąd to oskarżony, u którego w domu policja znalazła ulotkę przeciwstawiającą się imigracji, ma udowodnić, że nie sieje nienawiści, albo że „nienawistne” materiały, jakie u niego znaleziono, nie miały być pokazywane komukolwiek innemu. Bóg tylko raczy wiedzieć (no i być może władze Irlandii) w jaki sposób daje się w ogóle przeprowadzić tego rodzaju dowód.

Identyczny scenariusz odgrywany jest teraz w Wielkiej Brytanii. Bojowe hasło do walki z wolnością słowa rzucił lewicowo-muzułmański burmistrz Londynu Sadiq Khan, obwieszczając zaraz po zamieszkach, że brytyjskie prawo „nie jest wystarczające” dla zwalczania antyimigracyjnych poglądów i przeciwdziałania prawicowym rozruchom. Khan ma swój szczególny interes w domaganiu się restrykcji przeciw wolności słowa, gdyż toczy głośny w Anglii proces z byłym wiceszefem partii torysów posłem Lee Andersonem, który napisał w sieci, że „islamiści przejęli kontrolę nad Khanem i Londynem”. Anderson skłócił się zresztą z tego powodu ze swoją partią i przed ostatnimi wyborami przeniósł się do Partii Reform Nigela Farage’a, wygrał wybory do Izby Gmin, a teraz ma status swoistej „prawicowej gwiazdy”. Ale apel Khana natychmiast podchwycili ministrowie gabinetu Starmera, zapowiadając rychły „przeгляд” brytyjskiego ustawodawstwa. Rzecz tylko w tym, że zaostrzona ustawa, nakładająca restrykcje na swobodę słowa, dopiero co weszła w życie i ma być stosowana od roku 2025, gdy Ofcom (czyli rządowy *Office of Communication*) wyda do niej akty wykonawcze. Ostrze tej ustawy, podobnej do nowej unijnej dyrektywy EMFA (European Media Freedom Act), skierowane jest przede wszystkim przeciw swobodzie wyrażania poglądów w sieci. Nakazuje ona właścicielom globalnych

komunikatorów zaprowadzenie ostrej wewnętrznej cenzury, m.in. w kwestii płci i imigracji, pod rygiem astronomicznych kar, sięgających 10% globalnych obrotów takich platform jak Telegram, Facebook, czy X. Pytanie zatem brzmi: w jaki sposób burmistrz Londynu, a w ślad za nim brytyjski rząd, chcą zaostrzyć to drakońskie prawo?

Na celowniku brytyjskich władz znalazły się przede wszystkim dwa globalne komunikatory, oskarżane o sprawstwo zamieszek: Telegram Pawła Durowa oraz X Elona Muska. O tym pierwszym rządowi eksperci mówią teraz mediom, iż: „skrajna prawica, faszyci i neonaziści od dawna uważają Telegram za bezpieczną przestrzeń wymiany poglądów” (cyt. za „Politico”). Ale atak na Telegram utrudniony jest faktem, iż to jedyna globalna platforma, działająca legalnie na podstawie brytyjskiego prawa i zarejestrowana w jednej z ostatnich angielskich kolonii – czyli w rajku podatkowym, w jaki Londyn przekształcił Brytyjskie Wyspy Dziewicze. Największą wrogość koncentruje zatem na swojej osobie Musk, który w przeciwieństwie do milczącego na tematy polityczne Durowa, zaangażował się osobiście w spór z brytyjskim premierem. Kiedy wspomniany szef CPS Parkinson oznajmił, że policja przeczesuje media społecznościowe, a prokuratura ścigać będzie nie tylko antyimigranckie wpisy w sieci, ale także tych, którzy przekazują cudze wpisy, Musk zareagował dwoma ironicznymi tweetami: pierwszym: „To się dzieje naprawdę” i kolejnym, wskazującym wprost na Parkinsona: „Woke STASI”.

Daleko mi do idealizowania koncernów Big-Tech i ich właścicieli. Sam nie używałem, nie używam i nie będę używać mediów społecznościowych i boleję nad tym, że co najmniej od czasów Trumpa debata nad kluczowymi sprawami życia publicznego przeniosła się w zasadzie na globalne platformy cyfrowe. Za wyjątkiem kampanii

wyborczych, politycy nie wygłaszają już ważnych przemówień i coraz bardziej lekceważą konferencje prasowe. Tym niemniej sam staram się wyciągać wnioski z realiów, więc rozumiem, że sedno współczesnego sporu o wolność słowa rozgrywa się wokół zakresu swobody wpisów na globalnych platformach. Musk i Durow są jasnymi protagonistami tego sporu, choć są tak od siebie odmienni: pierwszy jest prowokatorem, a drugi stwarza wokół siebie atmosferę nieokreślonej tajemnicy. Dla demokratycznych polityków obaj stali się jednak znienawidzonymi wrogami. Nietrudno zresztą powiedzieć dlaczego. Jak całkiem dorzecznie tłumaczy Sunder Katwala z proimigracyjnej organizacji British Future: „Politycy mają coś bardzo ważnego do szefów globalnych komunikatorów – to, że ci stworzyli forum, na którym można wzywać i organizować ludzi”.

Musk i Durow ciągle nie chcą w pełni dołączyć do odgórnie zarządzanego na Zachodzie polowania na prawicowców organizujących się w sieci. Dlatego ściganie internetu staje się coraz bardziej namiętą pasją liberalnych (jakby to ironicznie nie brzmiało) oraz lewicowych polityków. Nie przypadkiem brytyjska minister spraw wewnętrznych Yvette Cooper grozi Muskowi ściganiem w Anglii jego koncernu, a nowy minister ds. konstytucji Thomas-Symonds wygraża się internautom osławionym tekstem Bartłomieja Sienkiewicza: „Idziemy po was!” Z kolei prezydent Macron został przyłapany niedawno na tym, jak na zamkniętym zebraniu z burmistrzami ze swojej partii przekonywał, iż w razie spodziewanych manifestacji państwo musi całkowicie odcinać dostęp do mediów społecznościowych. Tak przecież czynią wszyscy tyrani i dyktatorzy, od Egiptu podczas Arabskiej Wiosny, po Rosję z czasu antyputinowskiej „śnieżnej rewolucji”. Zdaje się, że po rozruchach, które zaczęły się w Southport, także władze Wielkiej Brytanii, uchodzącej za ojczyznę idei wolności słowa, nie są odległe od takiego sposobu myślenia.

Jan Rokita